



Bolesław Prus  
(1847 — 1912)

## Lalka (1890)

Skoczył w przejeżdżającą dorożkę i kazał skręcić ku Alei Jerozolimskiej. Na rogu wysiadł i poszedł piechotą w jedną z poprzecznych ulic.

Dzień był piękny, niebo prawie bez obłoku, bruk bez kurzu. Okna domów pootwierane, niektóre dopiero myto; figlarny wiatr miotał spódnicami pokojówek, przy czym można było spostrzec, że warszawska służba łatwiej odważa się myć okna na trzecim piętrze aniżeli własne nogi. Z wielu mieszkań odzywały się fortepiany, z wielu podwórek katarynki albo monotonne nawoływania piaskarzy, szczotkarzy, tandeciarzy i im podobnych przedsiębiorców. Tu i owdzie pod bramą ziewał stróż odziany w niebieską bluzę; kilka psów goniło się po ulicy, którą nikt nie przejeżdżał; małe dzieci bawiły się odzieraniem kory z młodych kasztanów, którym jeszcze nie zdążyły pociemnieć jasnozielone liście.

W ogóle ulica przedstawiała się czysto, spokojnie i wesoło. Na drugim jej końcu widać nawet było odrobinę horyzontu i kępę drzew; lecz wiejski ten pejzaż, niestosowny dla Warszawy, zasłaniany teraz rusztowaniami i ścianą z cegły.

Idąc prawym chodnikiem dostrzegł Wokulski na lewo, mniej więcej w połowie ulicy, dom niezwykle żółtej barwy. Warszawa posiada bardzo wiele żółtych domów; jest to chyba najżółciejsze miasto pod słońcem. Ta jednak kamienica wydawała się żółciejszą od innych i na wystawie przedmiotów żółtych (jakiej zapewne doczekamy się kiedyś) otrzymałaby pierwszą nagrodę.

Podszedłszy bliżej Wokulski przekonał się, że nie tylko on zwrócił uwagę na szczególną kamienicę; nawet psy, częściej tu niż na jakimkolwiek innym murze, składały wizytowe bilety.

„Do licha! — szepnął — zdaje mi się, że to właśnie jest ów dom...”

Istotnie, była to kamienica Łęckich.

Zaczął się przypatrywać. Dom był trzypiętrowy; miał parę żelaznych balkonów i każde piętro zbudowane w innym stylu. Za to w architekturze bramy panował tylko jeden motyw, mianowicie: wachlarz. Górna część wrót miała formę rozłożonego wachlarza, którym mogłaby się chłodzić przedpotopowa olbrzymka. Na obu

skrzydłach bramy były wyrzeźbione ogromne prostokąty, które w rogach również ozdobiono do połowy otwartymi wachlarzami. Najcenniejszym jednak upiększeniem bramy były umieszczone w pośrodku jej skrzydeł dwie rzeźby przedstawiające główki gwoździ, ale tak wielkich, jakby nimi była przytwierdzona brama do kamienicy, a kamienica do Warszawy.

Prawdziwą osobliwość stanowiła sień wjazdowa posiadająca bardzo lichą podłogę, ale za to bardzo ładne krajobrazy na ścianach. Było tam tyle wzgórz, lasów, skał i potoków, że mieszkańcy domu śmiało mogli nie wyjeżdżać na letnie mieszkanie.

Podwórko, otoczone ze wszystkich stron trzypiętrowymi oficynami, wyglądało jak dno obszernej studni, napełnionej wonnym powietrzem. W każdym rogu były drzwi, a w jednym aż dwoje drzwi; pod oknem mieszkania stróża znajdował się śmietnik i wodociąg.

Wokulski mimochodem spojrział w klatkę głównych schodów, do których prowadziły szklane drzwi. Schody zdawały się być mocno brudnymi; za to obok znajdowała się nisza, a w niej — nimfa z dzbankiem nad głową i utraconym nosem. Ponieważ dzbanek miał zabarwienie amarantowe, twarz nimfy żółte, piersi zielone, a nogi niebieskie, można było odgadnąć, że nimfa stoi naprzeciw okna posiadającego kolorowe szyby.

„No, tak!...” — mruknął Wokulski tonem, który nie zdradzał zbyt wielkiego zachwyty.

W tej chwili z prawej oficyny wyszła piękna kobieta z małą dziewczynką.

— Teraz, proszę mamy, pójdziemy do ogrodu? — pytało dziecko.

— Nie, kochanie. Teraz pójdziemy do sklepu, a do ogrodu po obiedzie — odpowiedziała pani bardzo przyjemnym głosem.

Była to wysoka szatynka z szarymi oczami, o klasycznych rysach. Spojrzeli na siebie oboje z Wokulskim i — dama zarumieniła się.

„Skąd ja ją znam?” — pomyślał Wokulski wychodząc z bramy na ulicę.

Dama obejrzała się, lecz spostrzegłszy go odwróciła głowę.

„Tak — myślał — widziałem ją w kwietniu na grobach, a później w sklepie. Nawet Rzecki zwracał mi na nią uwagę i mówił, że ma śliczne nogi. Istotnie ładne.”

Cofnął się znowu w bramę i począł czytać spis mieszkańców.

„Co?... Baronowa Krzeszowska na drugim piętrze!... Co?... co?... Maruszewicz w lewej oficynie na pierwszym?, Szczególny zbieg okoliczności. Trzecie piętro od frontu studenci... Ale kto może być ta piękność? Prawa oficyna, pierwsze piętro — Jadwiga Misiewicz, emerytka, i Helena Stawska z córeczką. Z pewnością ona.”

Wszedł na podwórko i oglądał się. Prawie wszystkie okna były otwarte. W tylnej oficynie na dole była pralnia zatytułowana paryską; na trzecim piętrze było słycać kucie szewskiego młotka, poniżej na gzemsie gruchało parę gołębi, a na drugim piętrze tej samej oficyny od kilku minut rozlegały się miarowe dźwięki fortepianu i krzykliwy sopran śpiewający gamę:

— A!... a!... a!... a!... a!... a!... a!... a!...

Wysoko nad sobą, na trzecim piętrze, Wokulski usłyszał silny bas męski, który mówił:

— O! znowu zażyła kussiny... Już z niej wyłazi soliter... Marysiu!... chodź no do nas...

Jednocześnie z okna na drugim piętrze wychyliła się głowa kobiety wołającej:

— Marysiu!... wracaj mi zaraz do domu... Marysiu!...

„Słowo daję, że to pani Krzeszowska” — szepnął Wokulski.

W tej chwili usłyszał charakterystyczny szelest: z trzeciego piętra padł strumień wody, trafił na wychyloną głowę pani Krzeszowskiej i rozprysnął się po podwórku.

— Marysiu!... chodź do nas... — wołał bas.

— Nikczemnicy!... — odpowiedziała pani Krzeszowska odwracając twarz w górę.

Nowy strumień wody lunął z trzeciego piętra i zatamował jej mowę. Zarazem wychylił się stamtąd młody człowiek z czarnym zarostem i zobaczywszy cofającą się fizjognomię pani Krzeszowskiej zawołał pięknym basem:

— Ach, to pani dobrodziejka!... Bardzo przepraszam...

Odpowiedział mu z mieszkania pani Krzeszowskiej spazmatyczny płacz niewieści:

— O, ja nieszczęśliwa!... Przysięgnę, że to on, nikczemnik, nasadził na mnie tych bandytów... Wywdzięcza mi się, żem go wydobyła z nędzy!... Żem kupiła jego konia!...

Tymczasem na dole praczki prały bieliznę, na trzecim piętrze szewc kuł, a na drugim w tylnej oficynie dźwięczał fortepian i rozlegała się wrzaskliwa gama:

— A!... a!... a!... a!... a!... a!... a!... a!...

„Wesoły dom, nie ma co...” — szepnął Wokulski otrzepując krople wody, które mu spadły na rękaw.

Wyszedł z podwórza na ulicę i jeszcze raz obejrzał nieruchomość, której miał zostać panem, skręcił w Aleję Jerozolimską. Tu wziął dorożkę i pojechał do adwokata.

### *Lalka — fragment, s. 243-244.*

Wyszedł przed bramę i zatrzymał się na chodniku. Ulica szeroka, wysadzona drzewami. W jednej chwili przelatuje około niego ze sześć powozów i żółty omnibus, naładowany podróżnymi wewnątrz i na dachu. Na prawo, gdzieś bardzo daleko, widać plac, na lewo — pod hotelem — niedużą markizę a pod nią gromadę mężczyzn i kobiet, którzy siedzą przy okrągłych stoliczkach, prawie na chodniku, i piją kawę. Panowie są jak wydekoltowani, mają w dziurkach od guzików kwiaty lub wstążeczki i zakładają nogi na kolana akurat tak wysoko, jak przystoi w sąsiedztwie pięciopiętrowych domów; kobiety szczupłe, małe, śniade, z ognistymi spojrzzeniami, lecz skromnie ubrane.

Wokulski idzie w lewo i za węglem tego samego hotelu, w tymże samym hotelu, widzi drugą markizę i drugą gromadę ludzi, pijących coś, obok chodnika. Tu siedzi ze sto osób, jeżeli nie więcej; panowie mają miny impertynentów, damy są ożywione, przyjacielskie i pełne prostoty. Powozy jedno — i dwukonne toczą się w dalszym ciągu, gromady pieszych pędzą co chwilę w jedną i drugą stronę, przesuwa się żółty i zielony omnibus, tym zaś przecinają drogę omnibusy brunatne, wszystkie napelnione wewnątrz, wszystkie obładowane podróżnymi na dachach.

Wokulski znajduje się na środku placu, z którego rozchodzi się siedem ulic. Liczy raz i drugi — siedem ulic... Gdzie iść?... Chyba w kierunku drzew... Akurat dwie ulice, przecinające się pod kątem prostym, są zadrzewione...

„Pójdę w kierunku ściany hotelu” — myśli Wokulski.

Robi pół obrotu w lewo i staje zdumiony.

W głębi na lewo widać jakiś potężny gmach.

Na parterze — szereg arkad i posągów, na pierwszym piętrze olbrzymie kolumny kamienne i nieco mniejsze marmurowe, ze złożonymi kapitelami. Na wysokości dachu w kątach orły i złożone posągi, unoszące się nad złożonymi figurami rozhu-kanych koni. Dach bliżej płaski, dalej kopuła zakończona koroną, a jeszcze dalej — dach trójkątny, również dźwigający na szczycie grupę figur. Wszędzie marmur, brąz, złoto, wszędzie kolumny, posągi i medaliony...

„Opera?... — myśli Wokulski. — Ależ tu jest więcej marmurów i brązów aniżeli w całej Warszawie!...”

Przypomina sobie swój sklep, ozdobę miasta, rumieni się i idzie dalej. Czuje, że Paryż na pierwszym kroku przytłoczył go, i — jest kontent.

Ruch powozów, omnibusów i ludzi pieszych zwiększa się w zastraszający sposób. Co kilka kroków werendy, okrągłe stoliki, ludzie siedzący przy chodnikach. Za powozem, który ma z tyłu lokaja, toczy się wózek ciągniony przez psa, mija go omnibus, potem dwaj ludzie z tragami, potem większy wóz na dwu kołach, potem dama i mężczyzna konno i znowu nieskończony szereg powozów. Bliżej chodnika — wózek z bukietami, drugi z owocami, naprzeciw pasztetnik, roznosiciel gazet, handlarz starzyzny, szlifierz, roznosiciel książek...

— M'rchand d'habits...

— „Figaro”...

— Exposition!...

— „Guide Parisien”!... *trois francs!*... *trois francs!*...

Ktoś wsuwa Wokulskiemu książkę w rękę, on płaci trzy franki i przechodzi na drugą stronę ulicy. Idzie szybko, lecz pomimo to widzi, że wszystko go wyprzedza: powozy i piesi. Oczywiście, jest to jakiś olbrzymi wyścig; więc przyspiesza kroku, a choć jeszcze nikogo nie wyścignął, już zwraca na siebie powszechną uwagę. Jego przede wszystkim atakują roznosiciele gazet i książek, na niego patrzą kobiety, z niego w drwiący sposób uśmiechają się mężczyźni. Czuje, że on, Wokulski, który tyle hałasu robił w Warszawie, tutaj jest onieśmielony jak dziecko i... dobrze mu

z tym... Ach, jakże pragnąłby znowu zostać dzieckiem z owej epoki, kiedy to jego ojciec naradzał się z przyjaciółmi: czy go oddać do kupca, czy do szkół?

W tym miejscu ulica nieco zgina się na prawo. Wokulski pierwszy raz spostrzega dom trzypiętrowy i napełnia go jakaś rzewność. Dom trzypiętrowy między pięciopiętrowymi!... cóż to za miła niespodzianka...

[za: B. Prus, *Lalka*, t. 1, PIW, Warszawa 1982, s. 204-207, 418, 420]